

KATARZYNA WASILKOWSKA



ZŁODZIEJKA

Katarzyna Wasilkowska

ZŁODZIEJKA

© by Katarzyna Wasilkowska

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Ludwika Gnyp

Redakcja: Agnieszka Hałubiec

Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2025

ISBN 978-83-8208-412-2

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

Cofam się od drzwi i sprawdzam, czy dokręciłam kran w kuchni. Na wszelki wypadek zatrzymuję się też pod drzwiami łazienki i nasłuchuję. Cicho, nic nie kapie. Wypuszczam powietrze i już całkiem luźniutko zamykam drzwi frontowe na wszystkie zamki: góra – mosiężny Yale, środek – antywłamaniowa Gerda z kluczem jak szpadel i wreszcie srebrzysty Yeti pod klamką. W komplecie kluczy są jeszcze: mały, płaski od skrzynki na listy, trochę większy, kłódkowy do szopki pod krzakiem bzu i taki zwykły, od piwnicy. Konkretny pęk, ledwo mogę objąć go dłonią. Całość spina brelok z szydełkowym wiązaniem mojej roboty.

Taki komiksowy bandziorno: czarne gatki, bluza w poziome czarno-białe paski z trzycyfrowym numerem na pierśsi obowiązkowo, czarna czapeczka i maska na oczach. Od dziecka śmieszył mnie concept więźnia w masce. Jakby był zamknięty, ale cały czas w gotowości do zrywki. Tunel dziobany łyżeczką, piłka do metalu przemycona w cieście, te sprawy.

Zamykam pęk w pięści, szydełkowy zbój tłumi dźwięki. Klucze należą do nieznośnie hałaśliwych przedmiotów.

Upewniam się, że wycieraczka leży równo.

Idę na tył domu, po drodze zrywam dwie brzoskwinie z nisko wiszących gałęzi i wrzucam je do plecaka. Z zielonego gąszczu mruga do mnie turkusowy hamak. Rozwiesiłam go w czerwcu między dwiema starymi lipami, spędziłam tam najlepsze godziny minionego lata.

Odsuwam sztachtetę w płocie, przeciskam się i wyskakuję na uliczkę. Idę, pogwizdując, z rękami wbitymi w kieszenie bluzy, nie za szybko.

W brzuchu przyjemnie ciąży kakao i spowalnia kroki. Do pierwszej lekcji mam jeszcze pół godziny.

Pod Żabką wpadam na nią. Kakao kiśnie gdzieś w przełyku.

Patrzę, jak zamiera z jedną nogą w Uberze. No dalej, powiedz coś. Matko.

– Myślałam, że śpisz – odzywa się w końcu.

– Nie śpię – wzruszam ramionami.

– Czemu tak wcześniej wyszłaś? – pyta, a ja wiem, że chce już siedzieć w samochodzie. Wisi na tych drzwiach z obowiązku. Nie mam ochoty z nią gadać, ale sprawia mi satysfakcję, kiedy widzę, jak uwiera ją ta rozmowa.

– Przecież wyszłam wczoraj – przypominam i czuję, że kącik ust unosi mi się drwiąco. – Spałam u koleżanki.

Widzę, że nie wie, o czym mówię, na jej szczęście kierowca coś tam mamrocze. Matka wykonuje głową i oczami taką sztukę, którą tylko ona potrafi i która w tym wypadku znaczy, że „niestety musi już jechać, ale sprawa jest niezamknięta, należą jej się wyjaśnienia, jednak nie wróci już do tematu, bo ma za wiele spraw na głowie”.

Patrzę, jak samochód znika za zakrętem, i myślę, że przestrzeń między nami wypełnia poczucie winy, które wiecznie przepychamy, ona na mnie, ja na nią. Ona, bo chciałaby, żebym widziała, jak bardzo się poświęca, jak mocno jest matką,

choć obie wiemy, że to ściema. Ja z kolei łudzę się, że wyrzutami sumienia wzbudzę jej zainteresowanie.

Przecież ja nie mam koleżanek. Nie potrafiłaby wymienić ani jednej osoby z mojej klasy.

* * *

Od przedszkola wiedziałam, że nigdy nie będę należała do osób popularnych.

Rzecz jasna, w przedszkolu nikt ich tak nie określa. Po prostu pojawiaasz się w grupie albo na placu zabaw i od razu wiesz, kto rządzi, kto słucha, a kto zostanie ofiarą.

Trafiają się wprawdzie niewinne ptaszyny, kompletnie nieświadome tego odwiecznego układu sił. To najczęściej oczka w głowie całej rodziny. Wystarczy, że pierdną, żeby ciecie i babcie mdlały z zachwyty, a tatusiowie musieli to oblać. Moim zdaniem dorastanie bez porażek upośledza dzieciaka. Warto chyba wiedzieć, że nie wszystko się udaje, nawet jeśli próbujesz?

Może przemawia przeze mnie zwykła zazdrość – mnie nikt nie chwalił, a przynajmniej niczego takiego nie pamiętam. Chodzi mi o to, że zdrowa jest równowaga, czasem dołki, kiedy indziej jak po maśle. A jeżeli ktoś od urodzenia słyszy od najbliższych, że jest najwspanialszy na świecie, a potem okazuje się, że niekoniecznie, że trzeba się jednak z lekka postarać, wysilić, to trochę zonk, nie?

Takie przekonane o własnej doskonałości biedactwa wychodzą potem z domu między ludzi i są w szoku, bo nagle wszyscy mają je gdzieś. Wtedy przed nimi trzy drogi: albo załapią, jak to działa, i zajmą miejsce w szeregu, albo za wszelką cenę będą chciały utrzymać pozycję z domu rodzinnego

i zostaną psychopatycznymi dyktatorami podwórka, przedszkola, szkoły. Najczęściej jednak przytrafia im się trzecia opcja: zszokowanej rzeczywistością ofiary.

Nigdy nie miałam widoków na zostanie osobą popularną i wcale mnie to nie interesowało. Nie uśmiechało mi się też być czymś chłopcem na posyłki, a już na pewno nie zamierzałam podkładać się dręczycielom. Chciałam jedynie, żeby mnie zostawiono w spokoju. To niestety nie przychodzi samo. Grupa to dżungla, spokój trzeba sobie wywalczyć.

Nie mogłam jechać na urodzie, nigdy nie ołsniewałam. Nie budziłam też respektu rozmiarem, jestem mała i drobna (pani Malina powiedziała kiedyś o mnie „pisklątko” i było to nawet miłe). Czułam jednak, że nie wolno przegapić momentu, w którym los będzie rozdzielał pozycje w grupie.

Okazja nadarzyła się jednego z pierwszych dni w przedszkolu. Dobrze to pamiętam. Dzieciaki bawiły się na podłodze, jedni układali puzzle z elementów wielkości dłoni, inni budowali z klocków. Po drugiej stronie sali, na półce, siedziała gigantyczna lalka w ślubnej sukni i welonie. Zahipnotyzowała mnie, przyciągała jak magnes. Przysięgam, były od niej promienie.

Ruszyłam w jej kierunku po dywanie w ulice. Dzieciaki odrywały się od puzzli, klocków i gapiły na mnie jak na lunatyckę. Szybko się zorientowały, co mnie tak poraziło. Zorientowała się też złotowłosa Majunia, wielka i różowa niczym obłok w pogodny letni poranek.

Majunia rozdawała karty w grupie Chomisiów. Górowała nawet nad najwyższymi chłopcami. Gdyby nie strój różowej pastereczki, w którym codziennie wkraczała do przedszkola, można by ją wziąć za ciocię.

Stawała w rozkroku na nogach jak chałki i unosiła potężne ramię, a każdy natychmiast jej ustępował, niezależnie, czy chodziło o porcję budyniu, czy pierwszeństwo w toalecie. Majunia ponosiła odpowiedzialność za niejedne mokre rajstopki.

Wyciągałam chude rączki po pannę młodą, gdy padł na mnie cień. Podparty pod boki kontur rysował się złowrogo na tle okna. Do dziś mam go przed oczami.

– Byłam pierwsza! – Majunia brzmiała, jakby jarała od kołyski.

Siłą woli ścisnęłam w piąstkę całe moje wnętrze. Inaczej zaczęłabym dygotać.

Świat zwolnił i jakby jednocześnie przyspieszył. Już nie chodziło o lalkę. Zrozumiałam, że właśnie waży się moje przyszłe życie. Majunia była spadającą monetą, a ja potrzebowałam orła.

Moja malutka stopa w kapciu na twardej podeszwie spadła na wystające z różowego sandałka palce. Zamiast na lalce, obie dłonie zacisnęłam na złotych lokach i przyciągnęłam wielką jak słońce twarz pastereczki do swojej. Nabrałam powietrza w płuca.

– Ja! Byłam! Pierwsza! – wrzasnęłam.

Uwolniłam wstrząśniętą Majunię, z pozornym spokojem sięgnęłam po lalkę, zatargałam ją przez dywan w ulice na drugi koniec sali. Usiadłam w kącie i zaczęłam udawać, że się bawię. Udawałam, bo z chwilą, kiedy ta krowiasta lala znalazła się w moich rękach, zdałam sobie sprawę, że do żadnej zabawy się nie nadaje.

Mimo wszystko była moją wywalczoną zdobyczą, wypadało jakoś z nią podzielać, nakarmić, wydać za mąż albo chociaż położyć spać. Tak właśnie zrobiłam. Położyłam, przykryłam

moim kocykiem, zanuciłam wymyśloną kołysankę. Kątem oka obserwowałam, co się działo na dywanie.

Dzieciaki wróciły do swoich zajęć, tylko pastereczka stała tam, gdzie ją przygwoździłam. Stała i tykała.

Nie mogłam dopuścić do eksplozji. Odłożyłam kocyk, dźwignęłam lalkę (była niewiele mniejsza ode mnie) i poszłam do Majuni.

– Proszę, już się pobawiłam – powiedziałam z najmiłym uśmiechem, patrząc jej prosto w oczy. I odeszłam.

Majunia nigdy nie podniosła na mnie swojego ramienia.

Jako niskiej osobie, zdarzało mi się słyszeć różne głupie docinki i uwagi typu „wracaj do swojego grzybka”, „dziewczyna dla Froda” czy „stań przede mną, będę miał podstawkę pod brodę”, ale muszę przyznać, że rzadko. I nawet nie musiałam wysilać się na ostre riposty. Wystarczyło kilka razy pójść na całość.

Kiedys naprawdę wpadłam w furję. Miałam jakieś osiemdziesięć lat. Wracałam ze szkoły obok sklepu, do którego chwilę wcześniej weszło kilka dziewczynek z mojej klasy. Do stojaka na rowery przywiązany był pies. Ze sklepu wyszedł jego właściciel z torbą z zakupami i zobaczył, że zwierzak zrobił kupę pod murkiem. Zaczął się drzeć, że coś tam, coś tam, durny kundel nie miał gdzie srać i różne takie chamstwa, aż w końcu kopnął biedaka. Pies odskoczył, a typ go jeszcze raz. Kundelek próbował uciekać, ale ciągle był uwięziony i tylko zapętlął smycz.

Nie wytrzymałam. Dopadłam faceta, zaczęłam go kopać i tłuc pięściami. Kilka osób musiało mnie odciągać. Miałam dużo szczęścia, gość nie zdążył mi oddać. Przyjechał patrol na sygnale, wlepili facetowi mandat za znęcanie się nad psem i za kupę pod murkiem.

– Na przyszłość wzywaj policję albo dorosłych – powiedział policjant i dał mi bransoletkę z odbłaskiem i alarmowymi numerami telefonów.

Koleżanki stały przed sklepem z otwartymi ustami. Potem przez kilka dni w szkole o niczym innym się nie gadało.

W piątej klasie chłopaki przypięli się do takiego jednego mazgaja z młodszego rocznika. Mazgaj nie mazgaj, znęcanie się jest najpodlejsze i dla tchórzy. Nie wiem do końca, o co chodziło. Może o nic, może skarżył, może nie znał się na żartach, może miał płacz na końcu nosa (niektórzy tak mają, szczególnie kiedy zaczynają dojrzewać), a może to był właśnie jeden z tych uwielbianych w domu za wszystko, nawet za kichnięcie do owsianki. W każdym razie wzięli go na celownik. Zaczęło się jak zawsze, od szeptania, naśmiewania, potrącania, a potem już szedł regularny pocisk.

Najgorszy był Jaro. Nie przepadam za nim, bo zawsze prowokuje zadymy i kryje się za innymi. Jednak zwykle jakoś się dogadujemy, a przynajmniej nie wchodzimy sobie w drogę.

I pewnego dnia zobaczyłam tłumek przed męską toaletą. Trzymali tam tego młodego i straszili, że wrzucą mu torbę do kibla. Zobaczyłam kilka telefonów w wyciągniętych dłoniach.

Nawet się nie zastanawiałam. Plecak Jara leżał na korytarzu. Złapałam go i wparowałam do toalety dziewczyn, która jest naprzeciw męskiej. Zostawiłam drzwi otwarte na oścież, podniosłam plecak nad głowę.

Wiadomość szybko poleciała przez tłumek do męskiego wucetu. Dzieciaki rozsunęły się, tworząc korytarz między łazienkami. Na jednym końcu Jaro z kumplami i tym młodym, na drugim ja z plecakiem nad głową.

– Ej, Marika, co ty odwalasz? – zawołał Jaro ze śmiechem, w którym jednak zadrżała niepewność.

Powoli opuściłam torbę i wbijając wzrok w Jara, sięgnęłam do środka. Trafiło na śniadanie w foliowym worku. Podniosłam je do góry, tak żeby mógł dobrze zobaczyć, i cisnęłam je w bok, prosto do sedesu. W kompletnej ciszy plusknięcie usłyszeli wszyscy, również ci w męskiej.

– Marika, kurde!

Chlup. Zwodowałam piórnik w drugiej kabinie. Została jeszcze trzecia toaleta do zatkania. Pomachałam do Jara jego zeszytem.

– Nie waż się! – wrzasnął i podbiegł pod drzwi damskiej łazienki.

Zatrzymał się przed tą niewidzialną linią, którą chłopcy rzadko odważają się przekroczyć, jakby wizyta w naszym klopie mogła ich zakazić dziewczynościami. (Dziewczyny też nie pchają się do męskiej, ale przede wszystkim dlatego, że tam naprawdę można się zakazić, a poza tym cuchnie. Są szkoły, które mają koedukacyjne łazienki, naszej to nie dotyczy).

– Przecież się bawimy, nie? – zapytałam głosem, który mógłby rąbać lód.

Na twarzy Jara złość walczyła ze zwątpieniem.

Pchnęłam plecak w jego stronę tak mocno, że łapiąc, zatoczył się do tyłu.

– Masz trzy minuty, żeby wyciągnąć swoje rzeczy. Potem idę do pana i mówię, że zatkałeś dziewczynom kible. Wiesz, że mi uwierz. Już dwa razy wpadłeś na zalewach.

Czerwony Jaro postawił plecak przy ścianie i z bólem przekroczył próg damskiej łazienki. Musiał mnie obejść, bo nie ruszyłam się na krok. Patrzyłam, jak dwoma palcami łowi swoje śniadanie i wyrzuca je do śmietnika. Wyraźnie zbierało mu się na haft, ale wszedł do drugiej kabiny po piórnik.

– Jak zobaczę, że ktoś znęca się nad innymi, naszczam mu do plecaka – powiedziałam do jego pleców, głośno i wyraźnie, żeby każdy słyszał.

Oddałam Jarowi zeszyt i wyszłam, a dzieciaki rozstępowały się przede mną niczym Morze Czerwone.

Ostatni wyskok przydarzył mi się w zeszłym roku, w siódmej klasie, na niemieckim.

Przez dwa miesiące jechaliśmy na zastępstwach, nawet nie poznaliśmy nauczycielki, bo ciągle była na zwolnieniu. Kiedy wreszcie się pojawiła, byliśmy spięci. To było pierwsze spotkanie z nowym językiem, a do nadrobienia kilka tygodni zaległości. Kobieta weszła do sali, a my odetchnęliśmy z ulgą, bo wyglądała jak miła babcia. Miała białe, falowane włosy i łagodny uśmiech. Szybko okazało się, że to tylko maska.

Dostawała szału, kiedy dukaliśmy zdania z angielskim akcentem, za drobne błędy stawiała jedyńki, w kółko powtarzała, że dobrze, że takie z nas tumany, bo będzie więcej dobrej pracy dla jej wnuków.

Na wywiadówce wybuchła afera. Rodzice byli zbulwersowani, że cała nasza nauka niemieckiego to jedyńki i wykłady o życiu. Niestety, tylko pogorszyli sytuację.

I jak raz opowiadała o wspaniałych perspektywach dla tych mitycznych wnuków, odezwał się Żelek. Powiedział, że zbiory szparagów to wątpliwy prestiż i żeby się nie martwiła, bo on nie planuje się o to szarpać z jej wnukami.

– Nie ma obawy, niech sobie tam chłopaczyny spokojnie pętlają w zagonkach, *viel Glück!* – zakończył z uśmiechem.

– *Was?! Was hast du gesagt, du frecher Junge?!* – wysyczała mu nad głowę. Nie bardzo zrozumieliśmy, ale dużo można było wyczytać z tonu.

– Po prostu celuję trochę, wie pani, wyżej – uśmiechnął się i pokazał ręką, jak wysoko.

– Żelisław, do tablicy – wyszeptwała, mrużąc oczy, a jej uśmiech daleki był od łagodności. – Przetłumacz i zapisz: „Dziewczynka wyprowadza swojego psa Rekse”.

Żelek trochę się głowił, ale napisał zdanie poprawnie.

– *Setz dich!* – mruknęła z niezadowoleniem. Starła tablicę, zostawiając słowo *Rex*. Postukała w nie markerem. – *Rex*. Popularne imię psa. Także w Polsce.

– Reksio! – szczerknął ktoś z tyłu sali, a parę osób zachichotało. Nauczycielka znowu zmrużyła oczy.

– Kto wie, jakie jest znaczenie tego słowa?

Cisza.

– Nikt? Naprawdę? Ani jedna osoba nie zna pochodzenia słowa *rex*?

Zagotowałam się. Nie chodziło o nauczenie nas czegokolwiek. Miała misję – wykazać, jak jesteśmy głupi. Ukradkiem wyjęłam telefon, poszukałam chwilę w internecie, wybrałam numer i zadzwoniłam.

– To „król” po łacinie! – grzmiała. – Wiecie, co to łacina? To matka! Matka języków nowożytnych! Jesteście niedouczonymi leniami, którzy wołają na kundla „król” i myślą, że to Burek! Konsole wam w głowie, pieniądze od rodziców na nowe buty wyciągać, włosy stroszyć! A wiecie, co ja mam z tego? Rozstrój nerwowy za najniższą krajową.

Podniosłam rękę, ale nie przerwała.

– Banda tumanów! Jak można nie wiedzieć takich rzeczy! Reksio! Coś podobnego... Łacina, tępaki, to źródło języków romańskich! Wpłynęła na germańskie, słowiańskie. Podstawa nauk przyrodniczych, logicznego rozumowania! Jesteście gówniarskimi barbarzyńcami, co wszystko mają w... Czego chcesz, Marika? To elementarny brak kultury, przerywa...

– Przepraszam, ale jedna pani z kuratorium do pani. – Wstałam i wyciągnęłam telefon w jej stronę. – Może pani mówić, jest na głośnym.

Zrobiło się cicho jak pod ziemią. Kobieta zamurowała. Wzięła jednak aparat do ręki. Widziałam, że czyta nazwę rozmówcy na wyświetlaczu: Biuro Kuratora Oświaty.

– Halo! – usłyszeliśmy zniecierpliwiony głos.

Nauczycielka podskoczyła, szybko dźgnęła ekran palcem i przyłożyła telefon do ucha.

– Halo...? – wykrztusiła. – Tak... Niemieckiego... Podstawowa... Siódma.

Wyszła z klasy. Wróciła po minucie, oddała mi telefon i do dzwonka prowadziła lekcję, jakby oko kuratorki zawisło gdzieś pod sufitem.

Od tamtej pory wszystkie lekcje niemieckiego były normalne.

Zarobiłam łatkę nieprzewidywalnej szajbuski, z którą dobrze się współpracuje, tylko trzeba uważać, żeby nie nadepnąć jej na odcisk.

Za każdym razem, kiedy w klasie jest jakaś inba, czuję na sobie ukradkowe spojrzenia. Mają nadzieję, że wpadnę w szal i zrobię porządek, a przy okazji widowisko, jak jakaś wonder dziewczyna. Nie mam misji wyręczania kogokolwiek, a już na pewno nie nauczycieli. Muszą sobie radzić na tym placu boju jak każdy z nas. W dodatku są dorośli.

Naprawdę, nie potrzebuję problemów. Myślę, że bywam nieobliczalna, ale widzą tylko zbroję. Dokładnie wiem, dokąd mogę się posunąć, choć na zewnątrz wygląda, jakbym nie znała granic. Trzymam ich wszystkich na dystans, w stanie niepewności. I git. Ważne, że działa.